Kronika *kulturalna*

Na scenie rzeszowskiej

Z końcem lutego będziemy oglądać na scenie Państwowego Teatru Ziemi Rzeszowskiej baśń ludową — Zygmunta Wojdana Podajemy tytuł roboczy baśni „Joanna Ligęza".

Tego rodzaju sztuka pełna humoru i śpiewu na pewno spotka się z żywym zainteresowaniem widzów.

Śpiewacy z naszego województwa próbują swych sił

W dniu 30 stycznia o godz. 10-tej w Wojewódzkim Domu Kultury przy ul. Okrzei 7 odbędą się wojewódzkie eliminacje III Ogólnopolskiego Konkursu Śpiewaczego.

W eliminacjach wezmą udział śpiewacy z całego województwa.

Jeszcze jedna placówka kulturalna

29 stycznia br. zostanie otwarty piękny, nowy międzyzakładowy Dom Kultury Związku Zawodowego Górników w Gorlicach, w którym znajdą kulturalną rozrywkę nie tylko górnicy naftowcy, ale wszyscy mieszkańcy Gorlic.

„Tosca" w Rzeszowie

Rozpoczęły się już próby w rzeszowskim Studium Operowym przy WDK opery „Tosca" Giacomo Pucciniego pod reżyserią Aleksandra Stojałowskiego.

Przed III konkursem recytatorów

O PIĘKNEJ SZTUCE ŻYWEGO SŁOWA

We wczesnych młodzieńczych wspomnieniach Żeromskiego jest pewien piękny, szczególnie wzruszający moment: opowieść o tym jak młodziutki, dzieckiem chyba jeszcze będący Stefan zagląda przypadkiem, w czasie gry w piłkę, do okienka szewca, pracującego w „podwórzowym lochu". Zobaczył tam jak „chłopcy łomotali młotkami w podeszwy, czeladnik o zwichrzonej czuprynie wygładzał cholewę, a stary majster, krając rzemień na wygładzonej desce wypowiadał podniosłym, majestatycznym, monotonnym głosem:

„...Orszulo moja wdzięczna, gdzieś mi się podziała?
W którą stronę, w którąś się krainę udała?..."

Na zawsze pozostało to drobne na pozór przeżycie w pamięci Żeromskiego. Skłoniło go do rozważań o „pięknym obłoku poezji polskiej", który jak deszcz spływał czasem... „na spragnioną, płoną lechicką ziemię". Dla nas ów deklamujący Kochanowskiego szewc-nędzarz z kieleckiej sutereny może być dowodem jakiegoś głębokiego, instynktownego ukochania piękna poezji, piękna żywego słowa, które istnieje w ludowych masach. Istniało nawet wtedy, gdy od źródeł kultury dzieliło lud tak wiele, gdy tylko przypadkiem jakiś okruch piekna dotrzeć mógł do robotniczej izby czy wiejskiej chaty.

Ten tradycyjny kult żywego słowa przeżywać może swój szczególny rozkwit dziś, gdy rewolucja kulturalna wydobywa i pielęgnuje każdy tkwiący w masach ludowych przejaw sił twórczych, gdy książka i zawarte w niej piękno poezji i prozy — szturmem zdobywają miasto i wieś. Czy istotnie możemy już mówić o takim rozkwicie? Niewątpliwie, pierwsze jego przejawy są już widoczne. Dowodem tego mogą być dwa ogólnopolskie konkursy recytatorskie, które zorganizowano w latach 1953 i 1954. W ostatnim wzięło udział 46 tysięcy uczestników. Liczba ta świadczy niewątpliwie o masowym charakterze konkursu, a tym samym o popularności, jaką zdobywa piękna sztuka recytacji.

O szerokim społecznym zasięgu tej sztuki mówi fakt, że udział wsi w pierwszych eliminacjach konkursu recytatorskiego wynosił około 60 procent. Brali w nim udział urzędnicy i pielęgniarki, chłopki ze spółdzielni produkcyjnych i studentki, uczniowie i robotnicy z najróżniejszych, nieraz dalekich bardzo od centrów kulturalnych miejscowości.

Jakie cele miał konkurs? Chodziło o ujęcie nieskoordynowanych na ogół wysiłków tysięcy miłośników pięknego słowa w pewne ramy organizacyjne, o rozbudzenie zdrowego współzawodnictwa, zwiększającego atrakcyjność pracy w tej dziedzinie. Konkurs miał na celu — i zadanie to w dużym stopniu spełnił — podniesienie poziomu recytacji, udzielenie szerokim rzeszom amatorów odpowiedzi na pytanie: jak i co recytować. Od tego „jak i co" przecież zależy zwiększenie siły oddziaływania wychowawczego recytacji, i to zarówno na wykonawcę, jak i na odbiorcę.

Konkurs — a zwłaszcza jego eliminacje centralne — wskazał na znaczne podniesienie poziomu recytacji. Zaczyna znikać z nich „sztampa", sztuczny patos, pojawia się coraz częściej prostota, głębokie przeżycie, wynikające z dokładnego zrozumienia i przemyślenia treści utworu. Uczestnikom i widzom końcowych, pokazowych koncertów konkursu utkwiły mocno w pamięci takie chwile, jak recytacja tuwimowskiego „Balu w operze" wygłoszona przez urzędnika Pajkerta, recytacje Zofii Hołysz, uczennicy z Krakowa, nauczyciela z Łowicza, Kaźmierczaka, czy wreszcie nowohutnickiego robotnika, Szaji, który ze szczerością i siłą wielkiego przeżycia mówił słynny wiersz Majakowskiego — „Lewy marsz". Doświadczenia i wyniki konkursu przyczyniły się niewątpliwie do ustalenia pewnych ogólnych kryteriów oceny recytacji, krystalizowania się dobrego, pięknego stylu mówienia wiersza i prozy.

Amator-recytator mógł sobie także, śledząc przebieg konkursu, odpowiedzieć na pytanie, co recytować. Dobór recytowanego materiału był na ogół trafny, wiele utworów — pozornie trudnych czy niepopularnych — pomyślnie przeszło ogniową próbę konkursu. Pewną, choć może nieco spóźnioną i nie pozbawioną usterek pomocą dla recytatorów była wydana przez Centralną Komisję Konkursu bibliografia, zawierająca tytuły 250 pozycji, proponowanych i zalecanych amatorom. Należy jednak podkreślić, że bibliografia ta ani w poprzednim, ani w następnym konkursie nie ogranicza możliwości uczestnika konkursu, który wybrać może swój repertuar dowolnie.

Doświadczenia minionego konkursu recytatorów nabierają szczególnej wagi teraz, gdy rozpocząć się ma nowy, trzeci z kolei konkurs ogólnopolski. Sądząc z zainteresowania, który wzbudził konkurs poprzedni, z licznych listów i zapytań, które napływają do komisji — zainteresowania tą imprezą i jej zasięg będą jeszcze większe Konkurs, opierający się na tych samych, co poprzednio, zasadach organizacyjnych, będzie jeszcze dodatkowo związany z Rokiem Mickiewiczowskim; jeden z utworów Mickiewicza należeć będzie do obowiązkowego repertuaru każdego recytatora.

Zagadnieniem, które na progu nowego konkursu wydaje się nam szczególnie ważne, jest większe zainteresowanie organizacji, prowadzących masową pracę kulturalną, sprawami nie tylko konkursu, ale i samej sztuki recytatorskiej. Dotyczy to zwłaszcza robotniczych świetlic, domów kultury, Domów Młodego Robotnika. Zastanawiającym zjawiskiem był bowiem mały udział w konkursie robotników, niepokojącym zaś — wielki procent „samotnych" miłośników pięknego słowa, nie objętych opieką żadnej świetlicy. A przecież recytacja powinna być ważnym elementem życia każdej świetlicy — jest ona bowiem formą popularną, lubianą, nie trudną, mającą wielkie walory wychowawcze. Nikt chyba nie wątpi, że jeden piękny i pięknie wypowiedziany wiersz zdziałać może często więcej, niż niejeden długi referat. Recytacja królować może nawet tam, gdzie z różnych względów nie mogą rozwinąć się zespoły wymagające większego nakładu sił i kosztów — taneczne czy teatralne. Recytacja może wypełnić puste wieczory, uczyć i wzruszać. Kochanowskiego lament nad zgasłą Orszulką dotarł do duszy starego szewca przed siedemdziesięciu laty; czar wielkiej poezji, mocne słowo prozy wzruszy na pewno jego prawnuka z naszych dni. Skarbnica żywego słowa, od Frycza Modrzewskiego i Paska aż do współczesnych prozaików, od Kochanowskiego i Szymonowicza do Tuwima i Gałczyńskiego, całe piękno poezji i prozy narodów obcych — **to wszystko czeka na miłośników pięknego mówienia, na recytatorów. Ich praca przyczyni się do tego, że słowo mówione, żywe słowo, rozkwitnie w naszym kraju tak bujnie, jak o tym marzyli kiedyś jego najwięksi twórcy.**

Danuta Sochacka

Dwa tygodnie na nartach w Karkonoszach

— I pomyśleć jak ten czas szybko leci. Jeszcze trzy tygodnie temu wybieraliśmy się na narty. Maszerowaliśmy ulicami Rzeszowa w kierunku stacji kolejowej, z nartami na ramieniu — zacząłem.

— Zgadzam się, że czas szybko leci — przerwał mi kolega — ale po co mi wspominasz przy każdej okazji te narty i te Karkonosze.

— Po co? Chcę cię przekonać, że głupstwo zrobiłeś nie jadąc razem z nami.

— Wcale mnie o tym nie przekonasz i ani nie próbuj tego czynić. Po co ja bym tam jechał? Nogę złamać?

— Tobie to wcale jednak nie grozi, za piecem takie wypadki się nie przytrafiają — odpaliłem, bo zaczął mnie już denerwować Nie dając mu dojść do słowa mówiłem dalej:

— Wiesz ty co, mnie się zdaje, że naprawdę niewiele wiesz o wędrownych wczasach narciarskich. Zdobądź się na chwilę cierpliwości i posłuchaj. Postaram się opowiedzieć ci nasze wrażenia.

Mój rozmówca łaskawie zgodził się i przyrzekł nie przerywać opowiadania za często. Udzieliłem sobie głosu.

— Kiedyśmy wtedy szli we czwórkę na stacje — Adam, Leszek, Jurek no i ja — padał deszcz. Na samym początku niewesoło się rozpoczęło. Niedaleko stacji jeden z przechodniów widząc nas z nartami pomruczał pod nosem: „Balia by się im przydała".

Udaliśmy, że nie słyszymy.

W drodze nic ciekawego. Deszcz siąpił, drzewa migały przed oknami, a koła wagonu stukały, ptaszki nie śpiewały. Za Stalinogrodem zgubiliśmy deszcz. Miny nam się poprawiły znacznie, bo śnieg był coraz większy. Po blisko 24-godzinnej podróży byliśmy na miejscu przeznaczenia — w Świeradowie-Zdroju. Rozłożyliśmy swoje plecaki w domu FWP „Czarodziejka" (czarodziejskiego nic nie było).

Po odpoczynku próba sprawności jazdy na nartach. Było dużo śmiechu. Poznaliśmy naszego przewodnika i resztę naszych koleżanek i kolegów z tego samego turnusu, a więc 5 olsztynianek i 2 olsztyniaków oraz 6-ciu — oprócz naszej czwórki — rzeszowiaków.

— To i kobiety też były na tych waszych wędrownych wczasach? — przerwał mi kolega.

— Skoro wymieniam, to były.

— A ładne?

— Daruj, ale nie odpowiem ci na to pytanie, żałuj tylko, że nie pojechałeś z nami. I wiedz, że właściwsze pytanie byłoby takie: czy te olsztynianki jeździły dobrze na nartach? — Poskutkowało.

— Po odpoczynku w Świeradowie-Zdroju wyruszyliśmy do Szklarskiej Poręby — opowiadam dalej. — Mówię ci, pięknie było, ale trudno to opowiedzieć naprędce. Trasa była w tym dniu niełatwa, trochę nawet pobłądziliśmy, ale wszystko dobrze się skończyło.

Pobyt w Szklarskiej należał do mniej ciekawych i na szczęście nie trwał długo. Później ze Szklarskiej do Szrenicy. Pięliśmy się w górę i w górę, aż do schroniska na szczycie. Naprawdę rzadko można zobaczyć w rzeczywistości domek jak z bajki. Schronisko wyglądało jakby było całe z cukru. Na hali niskie drzewa obsypane śniegiem i oblodzone, wyglądały jak żywe postacie, fantastyczny widok. Chwilami zza chmur wyglądało słońce. Oczy oślepiał wtedy ostry odblask tysiąca błyszczących diamentów, lśniła biała, pofałdowana zaspami, pokrywa śnieżna.

W samym schronisku miło i przytulnie. Pobyt na Szrenicy trwał kilka dni. Urozmaicony był wycieczkami na Halę Szrenicką Tu na całego białe szaleństwo.

— A przyznaj się ile razy fiknąłeś kozła? — przerwał mi kolega dalsze opowiadanie.

— Wprawdzie statystyki nie prowadziłem, ale zdaje mi się, że było tego naście razy — śnieg był miękki... Ze Szrenicy zjechaliśmy w dół do Sobieszowa. Opuszczając schronisko (ponad 1360 m ponad poziom morza) widzieliśmy jak szalała tu kurzawka śnieżna, tymczasem kilkaset metrów niżej w Sobieszowie zastaliśmy wiosnę. Wiał ciepły wiatr, ze śniegu ani śladu.

A teraz ciekawostka dla

(Dokończenie na str. 3)

Karkonosze — Schron. Samotnia nad M. Stawem.
Fot. T. Olszewski

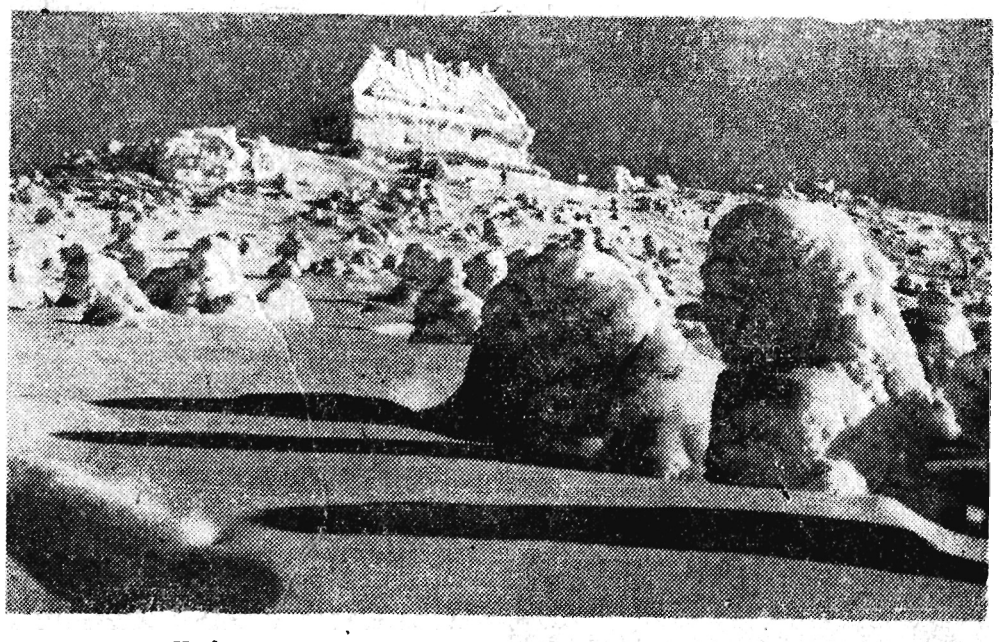

Karkonosze — Szrenica 1362 m Schron. PTTK Fot. Flach

Rok VI Rzeszów, 29. I. 1955 r. Nr 4 (250)

Nowiny Tygodnia

Tygodniowy dodatek „Nowin Rzeszowskich"

DZIŚ W NUMERZE:

WIKTOR IWIŃSKI — Pod gościnnym niebem

J. W. — Tym razem chyba nie będzie ...zamienił stryjek siekierkę na kijek!

ADAM OCHOCKI — Niebezpieczna choroba

Rozrywki umysłowe

Pod gościnnym niebem

Wiktor Świński

Znów gorączka przedpodróżowa. Ledwie wstał pierwszy brzask na niebie, ledwie z grubsza rozproszył ciemność, nadając krzewom i kwiatom ich naturalne barwy, a już staliśmy na nogach. Zimny prysznic doskonale daje radę z resztkami senności, orzeźwia, przyspiesza krążenie krwi.

Gdy szliśmy na ostatnie w Kisłowodsku wspólne śniadanie był już dzień, piękny jak nigdy dotąd. Na niebie ani jednego obłoczka, na horyzoncie drobiny mgły. Śliczny i obiecujący dzień. Jednak, dziwne, żaden z nas nie wspomniał o największym swoim pragnieniu. Po prostu wmówiliśmy sobie, że jest ono dla nas nieziszczalne. Czy mieliśmy rację tak sądzić? Zobaczymy.

Przy śniadaniu spotkaliśmy naczelnika Prowincji. Wrócił już z podróży. Przyszedł również pożegnać nas dyrektor uzdrowiska, średniego wzrostu, korpulentny, wesoły człowiek. Przywiódł z sobą dyrektora jednego z sanatoriów — zapalonego harmonistę.

Początkowo panowało przy stole milczenie. Rozwiązały się języki, gdy odezwała się harmonia polskimi melodiami. Miła niespodzianka. Jakże wiele mówiła nam ona o gospodarzach. Czyż potrzebne jeszcze przemówienia, zapewnienia itd.? Te wszystkie drobne na pozór sprawy, składały się na jedną całość — czuliśmy się u siebie, bo żyliśmy tych kilka dni z ludźmi, którzy nie narzucając się nam, zaskarbili sobie naszą sympatię, serdeczną przyjaźń.

Była ósma, jak wsiadaliśmy do autobusu. Słońce świeciło z prawej strony. Bezmyślnie kierowałem spojrzenie słońcu na spotkanie mocno mrużąc oczy. Zauważył to Kotow.

— Zasłońcie towarzyszu okno, szkoda oczu — powiedział.

— Racja — pomyślałem i właśnie, gdy miałem zamiar zasuwać firanki, dostrzegłem w dali potężne bliźniaczo do siebie podobne dwa białe, stożkowate szczyty. Wyrastały z długiego łańcu ha gór. Wysoko wznosiły się nad odkrytą doliną lekko gdzieniegdzie sfalowaną wzgórzami, jaśniały w słońcu. Wyraźnie, jakże wyraźnie rysowały te potężne szczyty na tle czystego nieba.

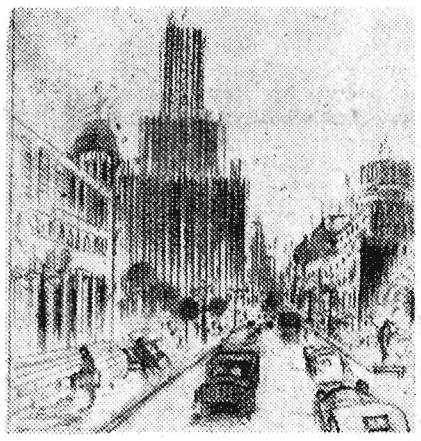

I nie mogłem powstrzymać okrzyku radości. Nie wiem nawet jak i czemu zawołałem

— Elbrus!

W autobusie nastąpiło coś nieopisanego. Wszyscy rzucili się do okien podziwiać olbrzyma, nie brakło wśród ciekawych Kotowa i Olgi.

Elbrus długo nam towarzyszył. Jadąc, oddalaliśmy się kilometrami, ale szczyty wiecznego śniegu nie nikły z oczu.

Tak nas żegnało pogodne, a w tym dniu najpogodniejsze niebo Stawropolskiego kraju — pięknego ludźmi, przyrodą, pamiątkami i nowym życiem.

— — — — —

Ciemno już było, gdy przebyliśmy samochodem drogę z lotniska podmoskiewskiego do wielkiej Moskwy. Jednego dnia spędzić ranek w pięknej kozackiej krainie, aby wieczorem być w najruchliwszym centrum Kraju Rad — to, przyznacie nazbyt wiele wrażeń. I tu, w Moskwie było pogodnie, życie tętniło na każdym kwadratowym metrze jej powierzchni. Nieprzerwany ruch pojazdów mechanicznych zlewał się z potokiem pieszych, sunących szerokimi chodnikami i przez jezdnię na skrzyżowaniach ulic, parkach, alejach, wszędzie. Niezliczona ilość świateł i neonów jakby pogłębiały pulsujące życie tego siedmiomilionowego miasta, które codziennie w swych progach gości ponad milion przyjezdnych z zagranicy i różnych republik radzieckich.

Po chwili znów w swoim pokoju. Z ulicy dochodzą znane dźwięki — szum głosów ludzkich, klaksony mknących samochodów, życie wielkiej Moskwy.

Pochylony nad biurkiem sporządzam notatki z ostatniej podróży. Pochłonięty pracą początkowo nie słyszę cichego dzwonka telefonu. Z głośnika płyną melodyjne tony kremlowskiego kuranta. Jest północ. Teraz gdy głośnik umilkł już, dzwonek telefonu jest donośniejszy. Podnoszę słuchawkę.

Co? Rozmowa z Polską? Ach tak, prawda, wyjeżdżając do Kisłowodska zamówiłem na dziś rozmowę. Obliczyłem, że powrócimy do Moskwy akurat w rocznicę mojego ślubu. Po chwili w słuchawce odzywa się bliski głos. Moskwa leży od Rzeszowa daleko, ale w słuchawce dźwięczą słowa wyraźnie, zdaje się tak blisko, tuż, tuż.

Później, kiedy odłożyłem słuchawkę, pomyślałem o tej radzieckiej dziewczynie z poczty. No bo cóż? Przypomniała mi skrupulatnym wykonaniem zlecenia o jednej z ważnych dat w życiu. A parę godzin zaledwie temu, gdyśmy zmęczeni podróżą wchodzili do sali jadalnej, przekonaliśmy się, że i tu myślano o nas. Z hotelowego hallu prowadzą drzwi do sali jadalnej. Mieliśmy stolik na jej drugim końcu. Aby się do niego dostać, trzeba było przejść salę obok orkiestry. Dzieliło nas od podium jakieś 30 kroków, gdy dostrzegliśmy wśród muzykantów jakieś poruszenie, odczuliśmy przyjazne spojrzenia i... w kilka sekund później zabrzmiały smętne tony kujawiaka. Po chwili na estradę weszła śpiewaczka, akcentując po rosyjsku w polskim języku śpiewała naszą ludową pieśń.

Myślałem o tym przed snem. Miałem też sen lekki, dobry sen. Różni ludzie, różnie mówią o przyjaźni, ale jakby nie mówili, przyjaźń jest jedna. Braliśmy lekcję tej przyjaźni w ciągu całego, miesięcznego pobytu w Związku Radzieckim. I na Kremlu, u którego bram witał nas serdecznie po chłopięcemu czterdziestoletni chyba szpakowaty już kapitan, w Galerii Tretiakowskiej, gdzie dyrektor w ciągu wielu godzin towarzysząc nam, opisując wartość artystyczną obrazów malarzy radzieckich z wzruszającym uznaniem podkreślał walory prac naszych polskich twórców arcydzieł malarstwa, na stadionie „Dynama", akurat w trakcie pierwszego meczu piłkarskiego Warszawa — Moskwa, kiedy publiczność gorąco oklaskiwała udane ataki naszych graczy, a w szczególności zręczność naszego bramkarza, w rozmowach przypadkowych, w parku, sklepach i na ulicach. No i w Muzeum Techniczno - Naukowym.

Pamiętam dokładnie słowa dyrektora tegoż Muzeum. Na pozór niczym nie wyróżniający się. Starszy, siwawy, skromnie ubrany, ale nadzwyczaj uprzejmy i mądry — twórca wielu prac naukowych, szanowany i lubiany.

Wówczas powiedział nam: **Studiowanie historii pozwala nam lepiej poznać dzień jutrzejszy, bo stanąć w miejscu, to — umrzeć.** A kiedy któraś z koleżanek rzuciła pytanie:

— Powiedzcie mi, co u was jest w tej chwili najdoskonalszego z dziedziny mechanizacji?

Odpowiedź brzmiała:

— Nic.

Wówczas, gdy zapanowała chwila milczenia, wiele pojąłem, łatwiej mi przyszło zrozumieć ten olbrzymi niespotykany rozwój myśli nowatorskiej ludzi radzieckich. Najwięcej, najwymowniej o tym mówi pierwsza elektrownia atomowa w świecie oddana przemysłowi na usługi i to właśnie w Związku Radzieckim. Wpatrywałem się chyba zbyt uroczyście w tę poważną, skupioną twarz dyrektora. Spostrzegł i uśmiechnął się zażenowany, po czym szybko począł mówić.

— Mogą być tylko najnowocześniejsze urządzenia, najlepszych szukamy i będziemy szukać. To lata, dziesiątki, setki lat. Rozwój nauki niepowstrzymanie kroczy naprzód. Powiedzieć, że coś już jest najlepszym osiągnięciem wiedzy — znaczyło by kłamać, oszukiwać siebie, ludzkość, oznaczałoby spocząć na laurach.

Muzeum powstało 82 lata temu, ze składek miłośników wiedzy. Dziś pierwszy kraj socjalizmu łoży ogromne sumy na doświadczenia naukowe, kształcenie nowych kadr naukowych, laboratoria doświadczalne, urządzenie i wyposażenie Muzeum.

Dziś w Muzeum można oglądać przestarzałe typy maszyn i obok nich np. kroczącą koparkę obsługiwaną tylko przez 6 inżynierów, koparkę zdolną sięgać po ziemię tysiąc metrów w głąb, zdolną posuwać się 180 kroków na godzinę. Albo automaty do kierowania pracą całych agregatów w fabrykach za naciśnięciem guziczka. Widzieliśmy w Muzeum wiele.

Nie wszyscy z naszej grupy stykali się przedtem z zakładami przemysłowymi, teraz pochłonięci cudami techniki namiętnie notowali jakże ciekawe, zdawało się z krainy baśni wyjęte urządzenia stworzone przez człowieka i zastosowane już w praktyce.

Albo huta. Wielka nowoczesna huta, zresztą już w budowie, którą będzie obsługiwać poprzez kierowanie pracą automatów... 6 ludzi!

Przed przyjazdem do ZSRR słyszałem o tym, że wiercą tu krzywe otwory w szybach naftowych. W żaden jednak sposób nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. Przecież u nas na Podkarpaciu najmniejsze odchylenie grozi zagwożdżeniem nowowierconego szybu.

I tu w Muzeum nadarzyła się okazja. Weszliśmy do działu mechanizacji przemysłu naftowego.

Młody inżynier — kobieta, gdy podzieliłem się z nią swymi kłopotami, uśmiechnęła się lekko, można by powiedzieć, ucieszyła się, że może mi odpowiedzieć i to zaraz.

Ujęła mnie lekko za ramię, jak nauczycielka ucznia i poprowadziła do ogromnej makiety przedstawiającej szyby z przekrojonymi otworami.

Uśmiechając się nadal mówiła:

— I u nas kiedyś były podobne trudności. Kiedyś najnowocześniejszymi były wiercenia systemem rotarowym. Ale kraj potrzebuje wiele, wiele ropy dla samolotów, pojazdów mechanicznych, powstających nowych gałęzi przemysłu chemicznego. A wiercenia rotarowe nie mogły dać tego. Lepsze od systemu udarowego, posunęły naprzód nasze wiertnictwo, ale czego nie wymyśli człowiek. I oto wynaleziono nowy system wiercenia otworów — **system turbinowy.** O, popatrzcie się.

Nacisnęła guziczek i szybmakieta ożył.

Długo rozmawialiśmy. Zrozumiałem: turbinowe wiercenie polega na tym, że nie kręci się cały przewód, ale tylko jego nasadka. Przy glebie twardej wypłukuje się ziemię wodą, uzyskując miesięcznie do 2000 metrów uwiertu. Przy glebie lekkiej ziemię wypłukuje się mieszanką — woda z gliną (płuczka) — miesięczny uwiert — 600 metrów.

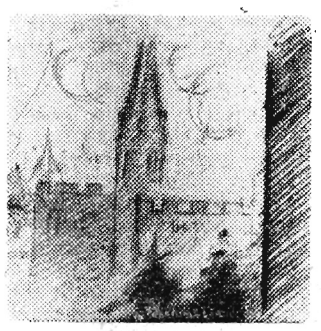

Obserwując pracę szybu, zaciekawił mnie jeden szczegół. Przy jednej wieży wiertniczej dwa otwory. Spytałem — No dobrze, ale po co dwa otwory?

— A to ekonomika czasu i pracy motoru — wyjaśniła. Gdy wymienia się dłuto w jednym otworze, drugi pracuje, przez co uzyskuje się przy jednej obsłudze i jednym urządzeniu wyniki pracy dwóch zespołów.

Chyba długo, za długo zatrzymałem się przy szybie, bo koledzy zaczęli się niecierpliwić. Było trochę złośliwych docinków pod moim adresem. Wkrótce jednak urwały się, bo niebawem ofiarą zainteresowania grupy miał stać się Staszek.

Próba rejestrowania słów na taśmie magnetofonowej. Również młody inżynier, tym razem mężczyzna, po objaśnieniu nowych zdobyczy w tej dziedzinie prosił, aby któryś z nas powiedział kilka słów, taśma zarejestruje i później zostanie odtworzona. Chwila wahania. Zgłasza się Staszek. Nie wiem co czuł w tej chwili, bo jak zazwyczaj rozmowny, teraz coś bąkał pod nosem, rwąc słowa, stękając jak stara piła.

— Ja... jestem szczęśliwy, widziałem wiele... chciałem powiedzieć, nie tak uroczyście, ale parę słów jak to się mówi zwyczajnych, widziałem, chciałem powiedzieć, że...

Początkowo skupieni słuchaliśmy co on chce powiedzieć, ale Janka jak zwykle, w śmiech, no i za nią wszyscy.

Staszek wybąkał jeszcze kilka słów i później miał możność usłyszeć swoje historyczne przemówienie już jako słuchacz. Martwił się tym parę dni co prawda, ale to tylko z powodu złośliwości niektórych. Zbyt często powracano do tego tematu. Z czasem ucichło.

Byliśmy na filmie w kinie stereoskopowym i któremuś z kolegów wyfruwały ptaki z głowy, takie wrażenie w kinie, po prostu obrazy widzi się bardzo plastyczne. **Nowy temat do drwin.** Ale już z kogo innego. Staszek odetchnął spokojnie.

Krótkie epizody, nie do uniknięcia w takim gronie. Dziennikarze, satyryk... W hotelu spotkałem znajomego z kraju. Przyjechał z inną grupą. Długo rozmawialiśmy. Był pod wrażeniem zwiedzonej fabryki łożysk kulkowych im. Kaganowicza. Opowiadał: Stara fabryka, zbudowana w pierwszej pięciolatce — w 1932 roku. (Wówczas nie wiedziałem, że i ja naocznie zobaczę to, o czym opowiadał). Utkwił mi w tej rozmowie pewien szczegół. Otóż ta stara fabryka drogą stale postępującej mechanizacji od czterech lat dzierży sztandar przechodni Rady Ministrów w tej gałęzi przemysłu.

Pod względem produkcji wyprzedza niedawno zbudowane zakłady. Warto żeby u nas wzięto to pod uwagę. I drugi: Wraz z budową tej fabryki rozpoczęto budownictwo mieszkaniowe. Byli tacy wśród architektów, którzy uważali, że dla ludzi pracy trzeba budować coś odmiennego, jak budowali burżuazyjni architekci. Domy proste, koszarowe. Zwalczono wkrótce te tendencje. Dziś dyrektor zakładu pokazuje te budowle jako zabytek przeszłości, jako coś co przedstawia element głupoty i zacofania. Wyrosło nowe osiedle, piękne domy z balkonami, wykładane piaskowcem. **Domy piękniejsze nie tylko wyglądem od tych, które budowali dla lokatorów burżuje, ale i nowoczesne, wygodniejsze o jasnych i przestronnych mieszkaniach.**

Dlaczego nam wszystko pokazywano — pomyślałem. Odpowiedź nie przyszła trudno. Dał ją przy jakiejś okazji Kotow. — Przyjaciołom życzy się jak najlepiej. Uczcie się u nas z czego możecie się nauczyć, a więc i z naszych błędów i z nowych osiągnięć.

Czyż nie jest prawdą, że przyjaźń jest jedna — ta dosłownie rozumiana przyjaźń w słowie i czynie?

O której odjeżdża

„Autobus odjeżdża o 6.20". Scenariusz Wilhelmina Skulska i Jan Rybkowski. Reżyseria: Jan Rybkowski. Zdjęcia Stanisław Wohl i Feliks Średnicki. Muzyka: Stanisław Skrowaczewski. Montaż: Joanna Rojewska. Dekoracje: Jan Grandys. Produkcja WFF w Łodzi — 1954 r.

Pamiętacie?... Stacja krańcowa PKS. Za chwilę odjedzie jeden z autobusów. Pasażerowie zajęli miejsca. Jest prawie tak ciasno, jak w warszawskim tramwaju w godzinach rannych, lub wieczornych.

Nagle, na stopień autobusu, wskakuje nieco zdenerwowany, samotny mężczyzna. Poznajecie go? Tak, to Wiktor Poradzki. Niepomny na niezbyt życzliwe spojrzenia i uwagi pasażerów energicznie przeciska się do przodu. Dostrzega wreszcie swoją żonę, Krystynę.

— Zerwałem ze Stefańskim — woła z daleka. Później wśród cichej aprobaty jednych i zgorszenia innych całuje żonę... i wyskakuje.

Jest to jedna z końcowych scen nowego filmu polskiej produkcji pt. „Autobus odjeżdża o 6.20". Ale zanim dojdzie do tego małżeńskiego porozumienia i pojednania, jesteśmy, podczas dwugodzinnego seansu, świadkami wielu interesujących, a niekiedy i pasjonujących konfliktów.

Autorzy scenariusza postawili sobie za cel przedstawienie zmian, jakie zaszły w sytuacji kobiety w Polsce Ludowej — kobiety, która potrafiła znaleźć sobie miejsce w życiu.

Kim jest bowiem Krystyna? Jest jedną z wielu żon i matek. Mąż jej przystojny i zarozumiały Wiktor, któremu łatwe sukcesy „przewróciły nieco w głowie" lekceważy i poniewiera nią. Krystyna ma dosyć takiego życia. Ona ma swoje marzenia i plany. Gdy decyduje się na zerwanie z mężem nie przychodzi jej to bynajmniej łatwo, kocha przecież swego małego synka, co więcej kocha również męża i wierzy, że zejdzie on prędzej czy później z fałszywej drogi.

Ta cicha niepozorna kobieta potrafi skorzystać z możliwości, jakie postawił przed nią nasz ustrój. W obcym środowisku, w ośrodku przemysłowym na Śląsku odzyskuje wiarę we własne siły i stwarza sobie nową egzystencję.

Jej mąż, Wiktor wybiera inną „łatwiejszą" drogę. Bez odpowiednich kwalifikacji wkracza na drogę urzędniczej kariery. I tu spotyka go zawód za zawodem. Coraz gorzej jest traktowany przez swych przełożonych, coraz to niższe szczeble zajmuje w drabinie społecznej.

Na domiar złego dostaje się w środowisko „niebieskich ptaków", takich „co to nie sieją i nie orzą, a chcą zbierać" i żyją cudzym kosztem. Stąd już krok tylko do kradzieży mienia społecznego i więzienia. Chęć użycia życia za wszelką cenę i stworzenie pozorów szczęścia o mało co nie doprowadzają go do całkowitego upadku.

CO SIĘ NAM PODOBA?

Jakie są zalety tego filmu? Przede wszystkim lepiej niż w innych naszych filmach o tematyce współczesnej zaakcentowana jedność życia społecznego i osobistego. Zamiast wyimaginowanego i sztucznego podciągania spraw, sytuacji i postaci pod aktualne w danej chwili ha-

Scena z filmu

Tym razem chyba nie będzie

... zamienił stryjek siekierkę na kijek!

Z dniem 31 grudnia 1954 r. przestała istnieć Państwowa Organizacja Imprez Artystycznych „Artos". Na jej miejsce powstała nowa instytucja — Państwowe Przedsiębiorstwo Imprez Estradowych. Porozmawiajmy nieco szerzej i dokładniej o tej reorganizacji.

Czym właściwie był „Artos" i czym jest obecne Przedsiębiorstwo Imprez Estradowych.

Dawny „Artos", a obecne PPIE, to przede wszystkim na szeroką skalę duży teatr objazdowy, to dziesiątki zespołów artystycznych, które docierają do najodleglejszych zakątków naszego kraju. Dawny „Artos", a obecne PPIE to dziesiątki zespołów żywego słowa, docierających do szkół z tzw. audycjami szkolnymi, to czołowe sceny estradowe w kraju, zwane obecnie „estradami satyrycznymi" — dawne „teatry satyryków". Wreszcie dawny „Artos" a obecne PPIE to administracyjny zespół organizujący występy najwybitniejszych solistów takich jak Czerny-Stefańska, Drzewiecki, Woytowiczówna, Kedra, Rittnerówna i in. czy też występy zespołów zagranicznych jak np. Teatru Małego z Moskwy, francuskiego Theatre National Populaire z Paryża, zespołu pieśni i tańca Chińskiej Armii Ludowej, występów Bandurzystów Ukraińskich i in.

Dawny „Artos" a obecnie PPIE obok kina, szeroko rozgałęzionej sieci bibliotek i świetlic wiejskich — to ten „frontowy oddział", walczący o jak najszerszy rozkwit kultury w najodleglejszych zakątkach naszego kraju — to jeszcze jeden przejaw troski o potrzeby kulturalne wszystkich bez wyjątku ludzi pracy. I tych mieszkających w Warszawie, Krakowie, Rzeszowie, Koszalinie jak również i tych mieszkających w Leżajsku, Mielcu, Rudniku, Górnie i innych Tyczynach, Trzcianach, Brzeźnicach i Błażowych.

— No dobrze — powie niejeden niecierpliwy czytelnik, ale na czym właściwie polega ta reorganizacja? Co się właściwie zmieniło?

Z wodewilu „Kawaler czy żonaty" — H. Kołaczkowskiej Na zdjęciu: Zofia Stepek w roli Basi, Julian Woźniak — Sylwek.

Chwileczkę cierpliwości...

„Artos" był jednym ogromnym przedsiębiorstwem z siedzibą w Warszawie i poszczególnymi oddziałami — tak tylko oddziałami, w większych miastach jak Poznań, Kraków, Wrocław, Stalinogród i innych. Obecnie po reorganizacji każdy oddział staje się odrębnym przedsiębiorstwem państwowym z placówką nadrzędną — Zarządem Centralnym przy Ministerstwie Kultury i Sztuki (a więc struktura organizacyjna taka jak w teatrach państwowych). Ta odrębność i podniesienie każdego oddziału do rangi przedsiębiorstwa pozwoli na jeszcze ściślejsze powiązanie z obsługiwanym terenem i jeszcze lepsze zaspokojenie potrzeb kulturalnych tego terenu. Bowiem przyznać należy otwarcie, że jeszcze niedawno działalność artystyczna niektórych zespołów „Artosu" była często na niskim poziomie, że ten najpopularniejszy odbiorca, zwłaszcza widz wiejski, zniechęcał się do tych występów, nie rozumiał wymuszonych dowcipów konferansjera, bez przekonania przyjmował słabe satyryczne scenki i monologi często nie wiążące się zupełnie ze sobą.

Jeszcze dziś w swej pracy zespoły, które od „Artosu" przejęło PPIE mają dużo błędów i niedociągnięć, ale z każdym tygodniem, ba z każdym dniem daje się zauważyć zmiany na lepsze. W tym przeobrażeniu z pewnością pomoże zasadnicza reorganizacja przedsiębiorstwa.

Powyższe słowa poprzyjmy konkretnymi przykładami. Czytelników „Nowin Rzeszowskich" interesuje szczególnie dawny krakowski „Artos", a obecnie Państwowe Przedsiębiorstwo Imprez Estradowych w Krakowie. Tenże krakowski „Artos" do niedawna jeździł z tak zwanymi „programami składanymi": troszkę muzyki, śpiewu, recytacji i na tym koniec. PPIE — Kraków, które po reorganizacji ma do obsłużenia tylko dwa województwa krakowskie i rzeszowskie, podczas gdy dawniej na tę samą ilość zespołów dochodziło jeszcze woj. kieleckie — przystępuje do realizacji swych planów krzewienia kultury ze stałym teatrem w Krakowie zwanym „Estradą Satyryczną", jednym zespołem „miejskim" i czterema zespołami „wiejskimi". Z tych tylko jeden w dalszym ciągu wystawia „składankę". Pozostałe zespoły natomiast opracowały dwa wodewile i program złożony z jednoaktówek Antoniego Czechowa.

Występy tych zespołów potwierdzają słuszność tej zmiany formy oddziaływania scenicznego. Jednoaktówki Czechowa — „Niedźwiedź", „Oświadczyny" i in. nie wymagają żadnego komentarza — samo nazwisko autora mówi wiele, a pozostałe dwa zespoły „wiejskie" jeżdżą z pełnospektaklowymi wodewilami z muzyką, piosenkami i tańcami. Widz potrzebuje pełnego przedstawienia, dekoracji, świateł, strojów — potrzebuje żywych postaci scenicznych.

Te wszystkie składniki posiadają opracowane przez artystów krakowskich wodewile: „Serce i miedza" Jana Medyńskiego z muzyką E. Olearczyka oraz wodewil Heleny Kołaczkowskiej z muzyką Jana Maćkowiaka pt. „Kawaler czy żonaty?".

Już samo to, że pusta niekiedy zupełnie scena w remizie strażackiej czy kinie wiejskim, zostaje zabudowana normalną, teatralną dekoracją, że fronton sceny z własną kurtyną tworzy estetyczną, miłą dla oka ramę przedstawienia, że dekoracja np. izby wiejskiej z wszelkimi meblami i rekwizytami umiejscawia akcję w tej właśnie izbie czy świetlicy — pozwala wiejskiemu widzowi lepiej zrozumieć oglądane przedstawienie, zbliżyć się do niego. Treść wodewilu zamknięta w czterech odsłonach daje widzowi wiele wzruszeń i radości. Często do tego stopnia absorbuje widzów akcja sceniczna, że przy otwartej kurtynie padają z widowni głośne uwagi będące wyrazem przeżyć.

Potwierdzeniem słuszności tej zmiany form pracy są liczne głosy odbiorców. Kierownik świetlicy gromadzkiej w Koniecznie po skończonym przedstawieniu powiedział do aktorów:

„Cieszymy się, że zaczynacie przyjeżdżać do nas z wodewilami. Poprzednie „składanki" można było porównać np. z „przystawką" do obiadu, lub „deserem" po obiedzie. Wodewil z pełną dekoracją, w kostiumach — to jakkolwiek jeszcze nie „obiad" to już przynajmniej „pierwsze danie" w tym kulturalnym posiłku".

Ta wypowiedź jakże trafnie określa dotychczasową pracę „Artosu". PPIE Kraków powinno pamiętać o tym i w swej działalności doprowadzić do nasycenia kulturalną rozrywką miast, miasteczek i wiosek naszego województwa.

W styczniu województwo rzeszowskie odwiedzają dwa zespoły wystawiając w wioskach i miasteczkach powiatów: jasielskiego, gorlickiego, niżańskiego, krośnieńskiego i rzeszowskiego wodewile „Serce i miedza" oraz „Kawaler czy żonaty?". A więc początek nie najgorszy.

J. W.

WIĘCEJ POETÓW dobrych i różnych

Większość utworów, które nadsyłają do naszej redakcji początkujący autorzy, można by określić nazwą „rymowanej prozy" i to prozy nieartystycznej. Sprzeczność zawarta w tym określeniu jest sprzecznością pozorną. Na przekór bowiem utartemu wśród przeciętnych odbiorców poezji mniemaniu, że rym jest zasadniczym czynnikiem utworu poetyckiego, wbrew przekonaniu, że utwór rymowany to utwór poetycki, sprawa przedstawia się inaczej. Rym jest jednym z elementów organizujących strukturę wiersza; obecność rymu w utworze nie decyduje jednak o przynależności tego utworu do poezji. Istnieją przecież w literaturze wiersze białe czy nieregularne, w których brak rymów, a mimo to są niewątpliwie utworami poetyckimi. Z drugiej strony trudno nazwać poezją np. rymowane porady rolnicze, czy ogrodnicze, spotykane w starych kalendarzach, lub też ujęty w rymy traktat o pisowni polskiej z XVI wieku. O tym czy utwór może być zaliczony do poezji czy nie, decyduje wiele czynników bardziej niż rym istotnych jak język poetycki, metrum wiersza i konstrukcja obrazu artystycznego.

Autorom wierszy, które do nas napływają brak zwłaszcza tej świadomości, że językiem utworu poetyckiego rządzą inne prawa niż językiem, którym porozumiewamy się na codzień z otoczeniem. W mowie potocznej korzystamy z pewnych gotowych, schematycznych zestawień słów, formułujemy zdania „sklepane" według starych, zwyczajowych skojarzeń. Natomiast jedną z zasadniczych właściwości języka poetyckiego jest dążność do odnawiania znaczenia słów przez tworzenie nowych zestawień słownych, przez przełamywanie utartych, potocznych połączeń. Jeżeli dwa codzienne, banalne słowa znajdą się obok siebie w nieoczekiwanym zestawieniu nabiorą świeżości i nowego znaczenia. W poezji, słowa powinny „dziwić się sobie" i zaskakiwać czytelnika niespodziewanym sąsiedztwem. Zobaczmy jak to wygląda w praktyce poetyckiej. Cytujemy:

Słowik świdrem zawziętym
ciął,
W noc się wkręcał klaszczący w listowiu,
Tyś go słuchał ze trwogą
i czcią,
Z miłą wiarą, że dowierci
się nowiu.

(J. TUWIM — „Przechodzień")

Szybie milczący i ciemny
ożyjesz i będziesz gadał
Po gniew — jak węgiel —
kamienny
windo złej pieśni
— na dół
Po gniew, moja pieśń
najgłębiej
w serce ziemi się wwierć.
Węgiel dobywa Zagłębie
Zagłębie dobywa śmierć.

(BRONIEWSKI — Zagłębie Dąbrowskie)

Czyż te zestawienia słów są podobne utartym zwrotom języka potocznego? Słowik tnący świdrem swej pieśni noc, gniew kamienny jak węgiel, pieśń szukająca gniewu w sercu ziemi — czy takie sformułowania nie zadziwiają swą świeżością i obrazowością?

Jak dalece te zagadnienia specyfiki języka poetyckiego są obce autorom nadsyłanych nam wierszy, niech znów wykażą cytaty. W wierszu „Nowy rok", który otrzymaliśmy od ob. E. W. z Bytomia czytamy:

„To pewne:
Przypada 10 rocznica Polski Ludowej.
I 100-lecie — Rok Mickiewiczowy.
To prawda — że Ameryka
zbroi Adenauerowców — na licha
dają broń szaleńcom — zbrodniarzom
I sama sobie tym piwa nawarzy
To pewne, że „sprawa pokoju leży w rękach ludów"
I nic wrogom nie pomoże w obronie...
Ani nowe bronie, ani żaden z cudów,
bo siła słuszności jest po naszej stronie".

I drugi cytat z wiersza „Nowy most w Jarosławiu":

„I jak po wstążce miękko i cicho
koła się suną i toczą
że jakbyś jechał z uczuciem błogim
i nie odrywał oczu
o gdyby tym mostem zajechać do domu
tak cicho i spokojnie,
zapomniałby człowiek o świecie całym,
zapomniał o strasznej wojnie".

Struktura językowa tych utworów w niczym nie przypomina języka poetyckiego. Jest to zwykły, codzienny język, jakim rozmawia się ze znajomymi, bez zabarwienia uczuciowego, bez jakichkolwiek środków ekspresji poetyckiej, ozdobiony tylko od czasu do czasu rymami. Utwory te nie posiadają więc istotnego, wyróżniającego poezję od pracy czynnika, dlatego nie mogą być traktowane jako poezja i nie mogą być jeszcze publikowane na łamach prasy.

„Jotgiel"

autobus?

sło polityczne, mamy tu obraz przemian zachodzących w naszej Ojczyźnie zmieniających nie tylko oblicze kraju, ale i psychikę człowieka.

Ludzie, których tu widzimy, to nie automaty, bezmyślne odbębniające, narzuconą im rolę — to żywi, niefałszowani bohaterowie naszych czasów. Pod powierzchnią codziennych zwyczajnych wydarzeń film kryje w sobie głęboką, ludzką treść. Widać, że ci ludzie myślą i przeżywają (bardzo rzadkie cechy naszych współczesnych bohaterów filmowych) widać, że czują i mają słuszne, albo niesłuszne ideały, w które z pełnym przekonaniem wierzą.

Na podkreślenie zasługują również interesujące zdjęcia części pierwszej, przedstawiające niekłamaną atmosferę małego miasteczka z tych lat. Bardzo dobra jest gra aktorów... drugoplanowych. Hanka Bielicka stworzyła ciekawy typ kierowniczki hotelu robotniczego. Była nieco zmanierowaną kobiecina, która bardzo jeszcze lubi mężczyzn. W roli amatora łatwych zarobków, bez zbytniej przesady zabłysnął Edward Dziewoński. Przekonywający obraz kociaka biurowego stworzyła Barbara Drapińska.

PRETENSJE DO REALIZATORÓW

Jakie są główne wady filmu? Przede wszystkim pozbawiony pomysłu i kośćca dramaturgicznego scenariusz, któremu brak ostrych wyraźnych spięć. Nie zadowala również opracowanie reżyserskie scenopisu. Wiele scen sprawia wrażenie niedopracowanych, niedokończonych, pozbawionych point.

Wątpliwości nasuwają również dwie główne kreacje. Aleksandra Śląska nie stworzyła tym razem wyraźnego typu kobiety, której przykład mógłby porwać dziesiątki innych. Wyczuwało się wyraźnie, że jej nowa rola to nic innego, jak kompilacja innych jej ról filmowych. Jerzy Duszyński sam zdaje się nie bardzo wiedział, kogo ma odtwarzać. Pozbawiony dostatecznej pomocy i opieki ze strony reżysera nie potrafił przekonać nas, co do przeobrażeń i przemian kreowanego bohatera.

PRETENSJE POD ADRESEM CUK-u

Dlaczego zatytułowałem tę recenzję dziwnym zapytaniem, „O której odjeżdża autobus?" Przecież wszyscy wiedzą, że o 6.20. Mnie się jednak wydaje, że ten autobus odjechał w spóźnionym terminie.

Bo film „Autobus odjeżdża o 6.20" był zrealizowany już w grudniu 1952 roku. Rok przeleżał w Centralnym Urzędzie Kinematografii (podobno trudności techniczne) zanim się dostał na ekrany.

Jeżeli więc po tak długim „odleżeniu" ukazał się wreszcie mieliśmy prawo oczekiwać, że po trudnościach technicznych nie zostanie ani śladu. Niestety tak nie jest. Nagrany ex post dźwięk, źle zsynchronizowany z ruchami ust aktorów sprawia nienaturalne wrażenie i odbiera filmowi realistyczną wymowę. Jak widać przysłowie „wolniej jedziesz, dalej jedziesz" brzmi w CUK-u „wolniej jedziesz gorzej jedziesz".

Ale to tylko uwaga na marginesie. Bo film mimo swych błędów i potknięć potrafi w całości zainteresować, a niekiedy i wzruszyć widza. A to znaczy już przecież bardzo wiele.

ZBIGNIEW ZAPERT

Dwa tygodnie na nartach w Karkonoszach

(Dokończenie ze str. 1)

ciebie. Myślę, że cię zainteresuje, bo narzekasz na rzeszowską komunikację miejską. Otóż wieczorem wybraliśmy się z Sobieszowa na spacer do Cieplic. Z powrotem wracaliśmy tramwajem i wiesz co, konduktorka chciała nam go sprzedać.

— No i czegoście go nie przywieźli? — zapytał gorączkowo.

— Wyobraź sobie, że ubiliśmy już targ, robimy składkę i okazuje się... że mamy wszyscy razem akurat tyle pieniędzy, aby zapłacić za wybicie dużej szyby... Pech, straciliśmy taką okazję. A ty będziesz dalej narzekał na komunikację miejską...

— No, no — odgroził się.

— Zaraz na drugi dzień po nieudałej transakcji wyjechaliśmy z Sobieszowa znów w góry do schroniska „Odrodzenie". Im wyżej, więcej śniegu, więcej słońca. W dole śliczna panorama. Ciemno-zielone lasy, szare pola kontrastują z bielą gór. „Odrodzenie" nie zrobiło na nas miłego wrażenia, ponieważ nie jest jeszcze zupełnie wyremontowane. Opuszczamy go bez żalu i jedziemy do „Samotni". Po drodze zwiedzamy schronisko im. Bronisława Czecha. Zmuszeni byliśmy rumienić się. Na rzeźbach pokrywających ściany odczytaliśmy uwiecznione nazwisko ziomka, wyryte nożem „Wrona — Rzeszów 1952".

Z „Samotni" robiliśmy wypady i wycieczki na Śnieżkę, do Karpacza, zdobywaliśmy punkty na GON. W „Samotni" ostatnie wspólne pożegnanie i koniec wczasów bardzo miłych i przyjemnych. I jak mnie widzisz wróciłem opalony, cały, wypoczęty.

— I to wszystko — zapytał kolega.

— Tak nie chciałem cię dłużej nudzić — odpowiedziałem.

— Tak, masz rację, bardzo nudnie to opowiedziałeś. Przypuszczam, że te wędrowne wczasy narciarskie nie były tak nudne, jak twoje opowiadanie.

Skinąłem głową na potwierdzenie i od razu dopowiedziałem:

— Możesz się sam o tym przekonać.

— I przekonam się sam naocznie.

— A więc pojedziesz na drugi sezon?

Pomruczał tylko.

Uczestnik wędrownych wczasów narciarskich

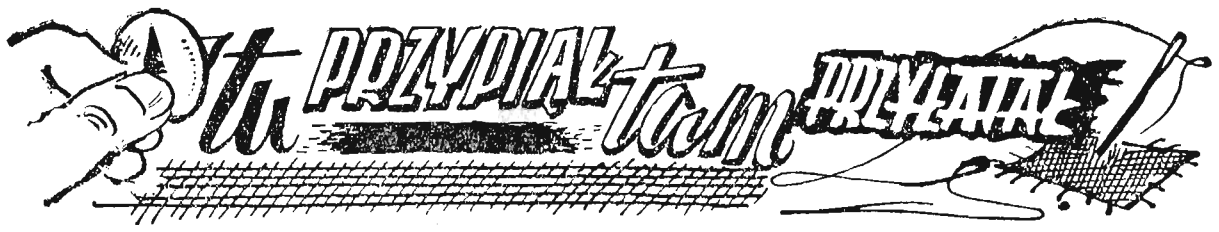

Adam Ochocki

Niebezpieczna choroba

Naczelnik Pępuszko miał tyle kłopotów,
Że w końcu przypłacił to zdrowiem,
Los srogo doświadczył go straszną ślepotą
A jak się to stało — opowiem...
Od rana petentów szturmuje go grono,
Niektórzy okrągły już tydzień,
Czekają na próżno i klną unisono,
Że sprawy ich dotąd nie załatwiono,
Naczelnik zaś tego nie widzi.

Z funduszów socjalnych kupiono adapter
Z płytami — najnowsze nagrania,
Lecz zamiast w świetlicy pojawił się raptem
W Pępuszki prywatnym mieszkaniu.
Umilić wieczory naczelnik się stara,
Po pracy do domu wprost idzie,
Z lubością spogląda na piękny aparat,
Lecz tego, że cudzy — nie widzi.

Z dnia na dzień choroba go bardziej przenika,
I mnożą się groźne symptomy,
Ot, co się zdarzyło, gdy do naczelnika
Przemocą wszedł gość nieznajomy:
Ażeby załatwić swą sprawę w dni parę,
Dyskretnie Pępuszce podsunął zegarek,
I z miejsca otrzymał gość przydział...
(Że złoty zegarek na dobrych kamieniach,
Naczelnik zobaczył to wprost w okamgnieniu,
Lecz, że to łapówka — nie widział).

Ślepota wkroczyła w fazę końcową,
Pokryły się mrokiem źrenice,
Już między swą kasą, a kasą państwową
Naczelnik nie widzi różnicy.
A nam się coś widzi, że skończy się źle tu,
Czy może być zresztą inaczej?
Przy takiej ślepocie już wnet gabinetu
Naczelnik nasz też nie zobaczy!

(Według W. Bachnowa i J. Kostiukowskiego).

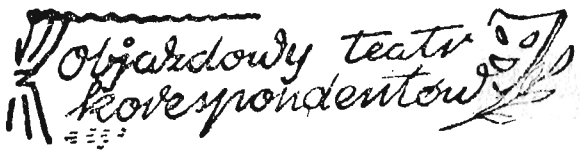

ma zaszczyt przedstawić sztukę w 4 aktach (8 odsłonach) opartą na motywach filmowych

Sprawa nie do załatwienia

W ośmiu rolach filmowych Adolfa Dymszy występuje tym razem petent ob. K. T. Sztukę reżyserował ANDRZEJ BRZEZINA.

AKT I

(Dekoracja przedstawia duży plac, na którym zebrali się absolwenci kursu dla kierowców samochodowych i motocyklowych)

INSTRUKTOR: Czołem chłopcy.

KIEROWCY - PETENCI: Czołem obywatelu instruktorze.

INSTRUKTOR: Za tydzień zgłoście się w Wydziale Komunikacyjnym Prezydium MRN celem odebrania pozwoleń na prowadzenie pojazdów mechanicznych.

KIEROWCY - PETENCI: (rozchodzą się zadowoleni).

AKT II

(Dzieje się w tydzień po zakończeniu kursu. Dekoracja przedstawia pokój Wydziału Komunikacyjnego MRN w Rzeszowie. Na pierwszym planie biurko, na biurku herbatka, za biurkiem urzędnik, segregatory. Przed biurkiem kierowca-petent)

URZĘDNIK: (zniżonym głosem, nie odrywając oczu znad papierów) Proszę przyjść za tydzień.

KIEROWCA - PETENT: Kiedy już tydzień minął.

URZĘDNIK: (podnosi głowę znad papierów) W jakiej sprawie?

KIEROWCA - PETENT: W sprawie tego pozwolenia, co to miało być.

URZĘDNIK: (przerywa mu) Za tydzień, powiedziałem za tydzień, to znaczy za tydzień.

AKT III

(Za kilkanaście dni. Dekoracja przedstawia w dalszym ciągu pokój Wydziału Komunikacji Prezydium MRN w Rzeszowie)

PETENT-KIEROWCA: Ja w sprawie tego zezwolenia.

URZĘDNIK: A tak, przypominam sobie. Ale nie mamy jeszcze decyzji i druków. Wiecie nowy rok, bilanse, remanenty. Przyjdźcie za tydzień.

AKT IV

(Dekoracja niezmieniona)

PETENT-KIEROWCA: Ja w sprawie tego zezwolenia.

URZĘDNIK: Druki już wprawdzie są, ale nie mamy jeszcze decyzji. Przyjdźcie za tydzień. Taki spacerek dla zdrowia he, he, he.

Kurtyna

Gołębie serce

Gminny delegat MS w Roźwienicy ma gołębie serce w piersi i końskie okulary na oczach: nie widzi chłopów, którzy nie chcą sprzedać mięsa i nie widzi robotników, którzy chcieliby mięso skosztować. Uzbroił się tylko w cierpliwość i czeka komu się wcześniej sprzykrzy, czy świniom świńskie życie w chlewach, czy też „ręce sprawiedliwości", która zresztą może sięgnąć w dwie strony: albo w kierunku właścicieli świń, albo też tego właśnie delegata o gołębim sercu. O jednym tylko nie pomyślał: że jeżeli ona dotąd po niego nie sięgnęła, to nie znaczy, że w ogóle nie sięgnie. A on tak sobiej żyje i działa jakby na drzwiach miał tabliczkę: „Sprawiedliwości wstęp wzbroniony"!

Skutki tej „cierpliwości" nie dają na siebie czekać. — Pierwszy sygnał do „rzezi niewiniątek" tzn. świń dał Michał Kotliński mieszkający — jak się to mówi — pod bokiem delegatury. Rąbnął świnię w łeb, podzielił się łupem sprawiedliwie z rodziną, może i z sąsiadami — ba — i psu coś chyba kapnęło, żeby wiedział, że pan się bawi.

Ale z państwem trzeba się jednak jakoś rozliczyć — prawie 60 kg zaległości w mięsie to nie żart. — Od czego mamy jednak władzę ludową? — pomyślał Kotliński. — Od tego żeby pomagała chłopu w trudnościach — od powiedział sam sobie. I złożył podanie o zwolnienie z dostawy, wraz z zażaleniem na świnię, że „wzięła i zdechła". No, a byłe Prezydium GRN jako przedstawiciel władzy w terenie — zrozumiało „trudności" Kotlińskiego i udzieliło mu ulgi.

Jest więc wilk syty i owca cała. I dostawy wyrównane i świnia zjedzona — jeśli się tak można wyrazić — we własnym zakresie. Tylko malutka uwaga: świnię zjadł Kotliński w naturze, a dostawy wyrównał papierkiem. No, ale skoro się udało...

Wziął się „na ambit" Antoni Kasieczka z Rudołowic. — Co to? Taki Kotliński ma być sprytniejszy ode mnie? O, to ci się bratku nie uda!

I jako mający skłonność do tzw. „łez krokodylich" — poszedł z płaczem do gminy. — Ja nie mogę wykonać dostaw żywca, ja już jestem stary i siły do pracy nie mam i świń nie chowam... I szloch wstrząsnął jego piersią...

Świń nie chowa... Otóż nie tylko, że świnie chowa, lecz i sam chowa się — nie tyle za ich plecami ile za... ogonem. Ale robi to sprytnie — kontraktuje je na inne nazwisko, a potem zamiast na punkt skupu do Roźwienicy pędzi je do Jarosławia, żeby otrzymać wyższą cenę — niby za ponadplanową odstawę. A państwo? — państwo może poczekać. Kasieczce się nie spieszy, świniom się nie spieszy, by zdradzić swego pana, delegatowi MS się nie spieszy, by ukarać opornego — w ogóle nikomu się nie spieszy.

Na podst. koresp. S. T.
(Frap.)

Wywiad *ze świetlicowym GS* w Dymitrowie Małym

— Słyszeliśmy, że wasze życie świetlicowe postawione jest na bardzo wysokim poziomie.

— Rozumie się. Posiadamy wyćwiczony zespół taneczny. Nasza specjalność to: polki, oberki i kozaki. Przy tańcu zwracamy uwagę nie tyle na dokładność wykonania, ile na szybkość ruchów. Dlatego hołubce wywijamy po prostu po mistrzowsku.

— Czy pracuje w waszej świetlicy również zespół chóralny?

— Owszem, dość liczny nawet. Na program nasz składają się same żywe, skoczne piosenki. One to zagrzewają nas do...

— Przypuszczam, że czytelnictwo rozwija się u was pomyślnie.

Tym razem na twarzy świetlicowego odmalowało się przerażenie.

— Czytanie książek wymaga skupienia — wykształcił wreszcie — no i oczywiście... siedzącej pozycji, a to mogłoby grozić zamarznięciem, ponieważ nasza świetlica nie posiada zupełnie pieca...

(a. r.)

Chodźmy do dzieci

Z powodu złej pracy MHD na Osiedlu WSK w Mielcu prawie zawsze brakuje zeszytów i innych pomocy biurowych. Dzieci muszą chodzić po dwa kilometry do Mielca, aby zakupić potrzebne im artykuły papiernicze.

wg. koresp. Fr. L.

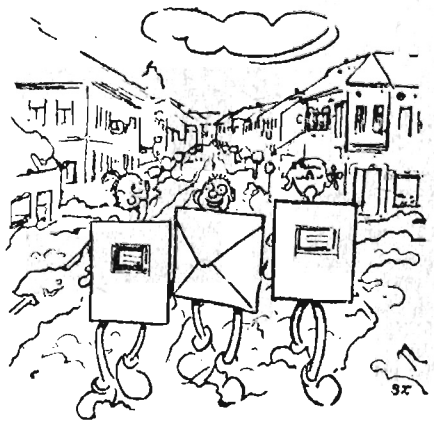

— Niech sobie biurokraci z MHD opracowują rozdzielniki, a my idziemy do szkoły bez zeszytów.

Bezpieczne schronisko

Świetlica gromadzka w Łączkach Jagiellońskich (pow. Krosno) znajduje się w opłakanym stanie. Lokal jest brudny dlatego nikt tam nie przychodzi.

wg. koresp. Kaz. Piękosia

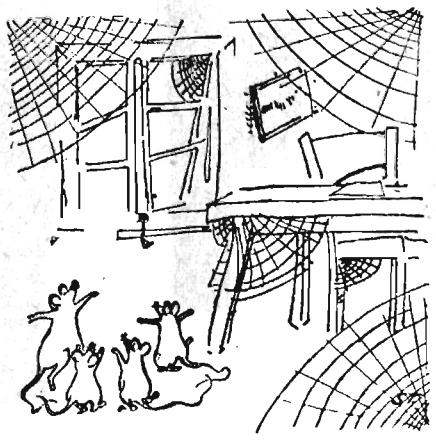

— Nie wychodźcie stąd ani na krok, tu jest najbezpieczniej, gdyż tu nawet kot nie zagląda.

Krzyżówka „morska"

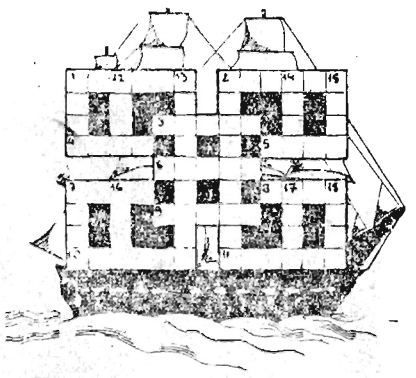

Poziomo: 1. podoficer marynarki, 2. okręt, który wydał sygnał rewolucji (wspak), 3. bywa łąkowa, ale też i morska (wspak), 4. jeśli pogodna, sprzyja żegludze, 5. ruch wody pod działaniem wiatru, 6. pośrednik handlowy (również w sprawach żeglugi), 7. okręt-trup, 8. ona i busola umożliwiają żeglugę (wspak), 9. jest ciężka również na okręcie (wspak), 10. mieszkanie na okręcie, 11. marynarz.

Pionowo: 1. „drogowskaz" morski, 2. ogół statków (wspak), 7. bywa leśny i „morski", 12. rudel, 13. żegluga, 14. pośledź (tył) statku, 15. statek biblijny, 16. łódź jednomasztowa (wspak), 17. „zajazd" dla okrętów, 18. jest tam Sewastopol (wspak).

Zagadka

Tak czasem słów są
znaczenia dziwne,
Że w jednym nawet i trzy
ich bywa:
Dawny oficer brzmi jak
instrument,
Którym znów mniszka
głowę nakrywa.

Między czytelników, którzy na adres redakcji (z dopiskiem na kopercie: Dział rozrywek umysłowych) nadeślą w terminie 10-dniowym trafne rozwiązanie co najmniej jednego z tych zadań, zostaną rozlosowane 3 nagrody w formie bonów książkowych upoważniających do wymiany ich w każdej księgarni na potrzebne książki.

Nagrody za trafne rozwiązanie zadań z numeru 42 (241) otrzymali: Jan Musiał z Jasła, Stefan Lenkiewicz ze Strzyżowa i Jan Kolisz z Wojsławia.

Uwaga! Przypominamy, że rozwiązania 11-tu zadań konkursowych zamieszczonych w „Nowinach Tygodnia" od Nr. 43 (242) do 3 (249) należy nadsyłać do 6 lutego br. Zwycięzcy w konkursie otrzymają nagrody wartości od 100 do 15 zł. (szczegóły podano w Nr. 43 (242).

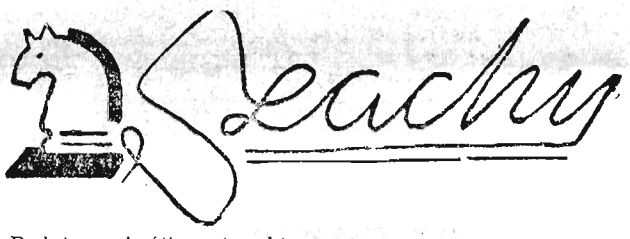

Podajemy krótką, kombinacyjną partię z turnieju koresp. w ZSRR:

Obrona słowiańska: **M. Markowicz — I. Smirnow:** 1. d4 d5 2. c4 c6 3. Sf3 Sf6 4. Sc3 e6 5. Gg5 dxc4 6. e4 b5 7. e5 h6 8. Gh4 g5 9. exf6 gxh4 10. Se5 Hxf6 11. g3 Sd7 12. f4 Gb7 13. Gg2 Sxe5 14. dxe5 He7? (błąd, po którym czarne popadają w ciężką sytuację, lepsze było 14.... Hd8) 15. o—o h4xg3 16. Se4 gxh2+ 17. Kh1 Hc7 18. Sf6+Ke7 19. Hg4 c5 20. Wd1 Gxg2— 21. Kxg2 Hc6+ 22. Kxh2 Wa-d8 23. f5 Wd3 24. Wxd3 cxd3 25. fxe6 Hxe6 26 He4 c4 27. Wf4 Ha6 28. Hd5. Czarne poddały.

Mat w czterech ruchach

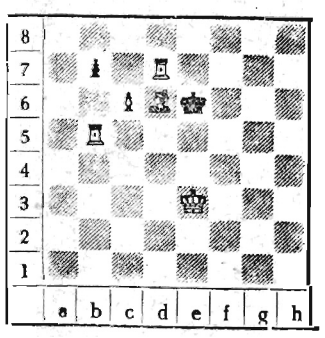

białe: Ke3, Bb5, Wd7, Gd6 pion cb (5)

czarne: Ke6 pion b7 (2)

Z. I.

Strzec niezłomnie wolności, niepodległości i granic Polski Ludowej, walczyć w obronie Ojczyzny, stać nieugięcie na straży pokoju i walczyć o świętą sprawę niepodległości, wolności i szczęścia ludu — oto treść roty przysięgi wojskowej.

Z serii Dziesięciolecia Polski Ludowej wprowadzono do obiegu dalsze wartości. Na rycinie 20-groszowy znaczek, poświęcony odrodzonemu Wojsku Polskiemu.

J. K.